



*Gitara i śpiew towarzyszyły spotkaniom na każdym szczeblu – tu Andrzej Piętowski gra na gitarze po spotkaniu z członkami Klubu Wspinaczy w Meksyku
fot. Zbigniew Bzdak*

Canoandes 79 nieoczekiwanie stała się wyprawą, która zdecydowała o moich dalszych losach i moim miejscu na ziemi, podobnie jak w przypadku kolegów, z którymi dotarłem nad Río Colca i do Ziemi Ognistej. Zbieg wielu okoliczności, w tym także politycznych, sprawił, że Polskę, zamiast po kilku miesiącach od wyjazdu, zobaczyłem po jedenastu latach. Właściwie nie powinien się temu dziwić, wyprawa od początku wymykała się przemyślanym i przygotowanym przez nas planom. Pomimo zawirowań i komplikacji pozwoliła jednak zrealizować powzięte zamiary i w nowej sytuacji wytyczyć życiowe cele.

Wróćmy teraz do roku 1980, kiedy opuściliśmy przyjazne Casper w Stanach Zjednoczonych i z nowiutkim pontonem, wiosłami, kamerami oraz innym sprzętem znaleźliśmy się znów w Meksyku.

W planach mieliśmy podbój kolejnych rzek w tym kraju, a potem przejazd przez Amerykę Środkową, przepłynięcie kanionu Colca w Peru i dotarcie do Argentyny i jej Ziemi Ognistej. Ale o tym opowie już Andrzej Piętowski.

Waszyngton, styczeń 2013

Rozdział I

MEKSYK

Kiedy pod koniec marca 1980 roku ponownie znaleźliśmy się w Meksyku, niemal od razu ruszyliśmy na podbój rzek. Spłynęliśmy jako pierwsi Río Moczuma i Río Atoyac. Na początku kwietnia znaleźliśmy się na niebezpiecznych wodach Río Santa Maria, która płynie korytem wydrążonym w aż pięciu niezwykle zróżnicowanych kanionach. Rzeka okazała się dla nas największym z dotychczasowych wyzwań. W ciągu dziewięciu dni pokonaliśmy 170 kilometrów, zaliczając dwadzieścia jeden przenoszek w miejscach, które okazały się niespływalne. Do tego straciliśmy cały zapas żywności podczas wywrotki pontonu i przez kilka kolejnych dni żywiliśmy się wyłącznie złapanymi przez siebie rybami. Przeszliśmy prawdziwy test sprawności, cierpliwości i pokory wobec natury.

Pełni wiary w swoje możliwości i z głowami przepelnionymi planami o zdobywaniu kolejnych rzek wróciliśmy do Ciudad de México. I tu nasz entuzjazm gwałtownie zgasł. W polskiej ambasadzie czekała na nas wiadomość, która nadeszła z Almaturu. Właściwie nie tyle wiadomość, co kateryczne wezwanie do natychmiastowego zakończenia wyprawy i powrotu do Polski. Czyżby nasz sen o Argentynie i nieprzepłyniętych rzekach w Andach miał się nie ziścić? Tyle przygotowań, tyle pokonanych przeszkód, tyle pracy włożonej w organizację wyprawy i wszystko miało pójść na marne? Trudno było się pogodzić z taką myślą.

Nakaz Almaturu wywołał burzliwą dyskusję w naszej niewielkiej grupie. Podzieliliśmy się na dwa obozy: tych, którzy chcieli się podporządkować i wracać do Polski, oraz tych, którzy za wszelką cenę pragnęli kontynuować dalszą podróż. Sprawa miała się rozstrzygnąć na spotkaniu z ambasadorem Józefem Klasą.

Kiedy usiedliśmy w bibliotece i zaczęliśmy rozmawiać z konsulem Stanisławem Ratajczakiem, z trudem zachowywaliśmy spokój. Ambasador był zajęty, dołączył do nas jednak nieco później. Obydwaj dyplomaci, bardzo nam przychylni, słuchali z uwagą naszych argumentów. Marek Byliński, kierownik wyprawy, zaciekle bronił decyzji Almaturu, uważając, że jest odpowiedzialny za sprowadzenie wszystkich do kraju. Część grupy, sami kawalerowie (reszta miała już rodziny), czyli ja – Andrzej Piętowski, Piotr Chmieliński, Jurek Majcherczyk i Jacek Bogucki, staraliśmy się przekonać wszystkich, że bez dotarcia do Ziemi Ognistej nie ma po co wracać do kraju. Zbyszek Bzdak, fotograf wyprawy, był niezdeterminowany. Z jednej strony czuł lojalność wobec kierownika, któremu podlegał, z drugiej zaś miał uczucie niedosytu, w końcu przyjechał tu, by zrobić niepowtarzalne zdjęcia niezwyklej miejsc. W pewnym momencie Marek poprosił o przerwę, aby załatwić coś na mieście, i wyszedł.



Zebrał się ponownie późnym popołudniem. Czekaliśmy na Marka. Właściwie nic nowego nie mieliśmy sobie do powiedzenia. Wszystkie argumenty zostały przedstawione, teraz musieliśmy tylko poczekać na decyzję ambasadora. W końcu rozległ się ostry dźwięk dzwonka do drzwi. Wrócił Marek, gotując się z wściekłości. Wszedł do biblioteki i krzyknął:

- Kto zabrał pieniądze z konta wyprawy?!
- Ja zabezpieczyłem nasze wspólne pieniądze, abyśmy mogli skończyć wyprawę do Ziemi Ognistej – odpowiedziałem.

Tuż przed spotkaniem w ambasadzie doszliśmy z Piotrem do wniosku, że trzeba zabezpieczyć nasze wspólne zasoby finansowe. Po kryjomu wymknąłem się z naszego obozu i pojechałem do banku. Pieniądze zdeponowałem u znajomych Polaków pracujących w meksykańskim biurze Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Przysłuchujący się nam ambasador był zbulwersowany. Chyba po raz pierwszy, odkąd go poznałem, podniósł głos. I zawstydział nas wszystkich.

– To wy nosicie krzyżyki na szyjach, chodźcie do kościoła, a zachowujecie się jak... – tu głos mu się urwał – ...jak chuligani. Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwał jego już spokojny głos:

– Panie Andrzeju, daję panu mojego kierowcę. Pojedzie pan natychmiast i przywiezie pieniądze. Ma pan na to czterdzieści pięć minut. Pieniądze zdeponujemy w sejfie ambasady. A potem zaczniemy rozmawiać.

– Tak jest, panie ambasadorze – odparłem. Jego słowa zabrzmiały dla mnie tak, jakby nie wszystko było jeszcze stracone. Wsiadłem do czekającego przez ambasadą auta i wraz z kierowcą popędziliśmy do znajomych, u których zostawiłem pieniądze wyprawy.

*Río Santa Maria w Meksyku to kolejny podbój Canoandes 79;
w kajaku Piotr Chmieliński
fot. Zbigniew Bzdak*

Podczas mojej nieobecności obaj panowie – ambasador i konsul – naradzili się i ustalili plan, który miał pogodzić naszą grupę. Po dostarczeniu przeze mnie pieniędzy i ich przeliczeniu ambasador oznajmił:

– Rozmawiałem z niektórymi z was oraz z panem konsulem i doszliśmy do wniosku, że ci, którzy chcą, powinni kontynuować wyprawę. Pozostali wrócą do domu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Samochód i sprzęt odesłamy do Almaturu najbliższym statkiem. Grupa kontynuująca wyprawę ma wybrać kierownika i ustalić, jaki sprzęt jest jej niezbędny. Nie chcemy więcej słyszeć o nieporozumieniach. Jesteście tutaj, aby wykonać założony program. Pamiętajcie, że reprezentujecie Polskę, a nie tylko siebie. Teraz czekam na wybór nowego kierownika wyprawy.

Po tych słowach wyszedł. Zrozumieliśmy, że nie czas na kłótnie i przepychanki. Po krótkiej dyskusji zostałem zgłoszony na kierownika. Głosowanie było jednomyślne. Otrzymałem krótkie brawa i wyszliśmy z biblioteki.



Reorganizacja naszej wyprawy wymagała podzielenia ekwipunku na ten, który mieliśmy zabrać w dalszą podróż, i ten, który musiał wrócić do kraju. Część pieniędzy przekazaliśmy kolegom odlatującym do Polski. Niebawem ciężarówka, motocykle i sprzęt załadowane na statek w porcie Veracruz odpłynęły wraz z naszym kierowcą Jankiem. A my musieliśmy znaleźć nowy środek lokomocji.

Zadzwoiłem do naszych przyjaciół Jadzi i Jurka Jabczyńskich, którzy prowadzili słynny Cyrk Jabczyńskich. Mieszkali w Las Vegas. Poprosiłem ich o znalezienie taniej furgonetki lub vana, abyśmy mogli pojechać do Argentyny. „Nie ma sprawy” – usłyszałem. „Oddzwonimy za dzień lub dwa”. Następną rozmowa była już zaproszeniem: „Przyjeżdżajcie, mamy coś na oku”.

Poleciałem razem z Piotrem. Jadzia i Jurek odebrali nas z lotniska, jak zawsze uśmiechnięci, okazujący radość na widok starych przyjaciół. Po południu Jurek, szef akrobatów cyrkowych pracujących w hotelu Hilton-Flamingo, zaprosił nas na spotkanie z zespołem. Staliśmy w kręgu na placu w centrum miasta, przed ich mieszkalnymi wozami kempingowymi. Jurek wyszedł na środek placu tym swoim charakterystycznym „gumowym” krokiem akrobaty i oznajmił:

– Naradziliśmy się z całą grupą. Mamy stałą pracę i nie musimy przewozić trampolin oraz sprzętu do wielu miejsc. Doszliśmy więc do wniosku, że nasza furgonetka Chevrolet Cheyenne nie jest nam potrzebna. Dlatego darujemy ją waszej wyprawie. Mamy nadzieję, że będzie wam służyć do samej Ziemi Ognistej.

Na twarzach akrobatów malowały się życzliwe uśmiechy. My z Piotrem staliśmy jak wmurowani. Byliśmy kompletnie zaskoczeni gestem przyjaciół, myśleliśmy nawet, że trochę jesteśmy go niegodni. Wybąkałem coś jak zapytanie, czy to naprawdę jest prezent. Akrobaci roześmiali się tylko i otoczyli nas zwartym kołem, gratulując i zapraszając na wieczorne przyjęcie w schronisku, wysoko ponad Las Vegas, w Sierra Nevada. Piotr dostał kluczyki do samochodu, a ja tytuł własności do naszego nowego wspaniałego auta.

Nazajutrz przerejestrowaliśmy samochód na moje nazwisko, bo miałem już amerykańskie prawo jazdy z Chicago. Do zderzaków przykręciliśmy niebieskie tablice rejestracyjne z Nevady.



Guillermo López Portillo był pod wrażeniem naszych dokonań oraz naszego samochodu, który otrzymaliśmy od cyrkowej grupy Jabczyńskich z Las Vegas
 fot. Zbigniew Bzdak

Na złomowisku zakupiliśmy białą naczepę kempingową do zamontowania na platformie, z drzwiami z tyłu, do tego dwa skórzane fotele i mnóstwo innych niezbędnych rzeczy. Podpięliśmy jeszcze do furgonetki platformę dwukółkę, na której mieliśmy zbudować nową przyczepę kajakową.

Następnego dnia wyruszyliśmy z zawrotną prędkością 70 mil na godzinę na południe, do granicy z Meksykiem. Celnicy meksykańscy chcieli wprowadzić opodatkować dwóch *gringos*, ale pokazaliśmy im list od prezesa Narodowego Instytutu Sportu i pisma z ambasady, wręciliśmy kilka proporczyków oraz broszurek wyprawy i pozwolono nam jechać dalej.

Podróżowaliśmy wzdłuż Sierra Nevada, półpustynnych wzgórz porośniętych kaktusami. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ja prowadziłem, a Piotr, wysmarowany obficie olejem diesla, opalał się w najlepsze, rozparty na jednym ze skórzanych foteli, które przykręciliśmy do podłogi przyczepy. Odkąd go znałem, uwielbiał się opalać. Widziałem Piotra w lusterku wstecznym – gdy chciał się zatrzymać, po prostu dawał znak. Po czterech dniach dotarliśmy do stolicy, zajeżdżając z gracją przed dom przyjaciół, u których się zatrzymaliśmy. Byli pod wrażeniem naszego nowego auta, informacji o niesamowitej szybkości, jaką nasz „chevy” rozwijał, i o zaoszczędzonej fortunie. Zaprzyjaźniony kajakarz, Luis Sierra, zabrał auto do warsztatu na politechnice i w ciągu tygodnia mieliśmy nową przyczepę na kajaki, wyposażone wewnątrz naczepy kempingowej i nawet dzwonek do kabiny kierowcy. Wszystko za darmo – kolejny prezent dla *los amigos Polacos*.

Podczas gdy my dokonywaliśmy reorganizacji naszej wyprawy, konsul Ratajczak robił wszystko, co w jego mocy, by umożliwić nam uzyskanie wiz do bananowych republik. Problem w tym, że władzę w Nikaragui przejął rząd promoskiewski zwalczany przez oddziały *contras* wspomagane przez CIA i prezydenta Ronalda Reagana. Groźba rozprzestrzenienia się wpływów komunistycznych zawisła nad całym regionem. Polska znalazła się na liście państw, których obywatele musieli się starać o specjalne



Nowy samochód potrzebował nowej przyczepy; musiała ona pomieścić większą część bagażu wyprawy
 fot. Zbigniew Bzdak

wizy, dokładnie określając i dokumentując cel podróży. To zaś trwało wieki. Na szczęście konsul, będący dziekanem Korpusu Konsularnego, zwołał dwie narady konsulów akredytowanych w Meksyku i tak pokierował sprawą, że w ciągu tygodnia uzyskaliśmy pozwolenie na wjazd do wszystkich krajów. Z wyjątkiem Hondurasu.

Moim zadaniem było odebrać wszystkie wizy z konsulatów zlokalizowanych w różnych częściach Ciudad de México. Jeździłem na motocyklu, w żółtym kasku hokejowym produkcji ZSRR na głowie i podkoszulku z napisem „Polonia”. Mój wygląd musiał wzbudzać sympatię, bo często zwalniano nas z opłat za pieczętki i znaczki w paszportach. Cieszyłem się też sporym zainteresowaniem ze strony urzędników konsularnych, które częstowały mnie kawą najwyższej jakości.

Od dawna byliśmy gotowi do wyjazdu na południe. Sprzęt pływacki został sprawdzony na rzece Amacuzac, samochód przystosowany do jazdy w terenie, dwa zapasowe koła zamontowane

nad kabiną, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Tegucigalpie nadal milczało odnośnie naszych pozwoleń na przejazd przez Honduras. Upłynął miesiąc od powrotu z Las Vegas i trochę się już niepokoiłiśmy o losy naszej wyprawy. Fiesty pożegnalne odbywały się nieprzerwanie w każdy weekend. Konsul Ratajczak był jednak dobrej myśli.

– Panowie, sprawa będzie pozytywnie załatwiona – powtarzał.

Któregoś poranka zadzwoniłem do ambasady i wreszcie usłyszałem komunikat, na który od tak dawna czekaliśmy.

– Proszę jechać z paszportami do konsulatu Hondurasu. Czekają na pana konsul o długim, pięknie brzmiącym hiszpańskim nazwisku. Niestety, będzie opłata, po dziesięć dolarów od wizy – poinformował mnie Stanisław Ratajczak.

Pospiesznie przebrałem się w bardziej wizytowy strój i pognałem na motorze do śródmieścia. Zaparkowałem motocykl na chodniku przed wejściem do konsulatu honduraskiego i zgłosiłem ochroniarzowi, że ma go pilnować. Nie wiedząc, kim jestem, posłusznie odparł: „*Si señor, no hay ningún problema*”, Tak, proszę pana, oczywiście. I uśmiechnął się służbowo, odsłaniając piękne białe zęby. Wypełniłem formularze, podałem paszporty do okienka konsularnego. Poczęstowano mnie *café de altura* – najlepszym gatunkiem kawy, którą uprawia się wysoko w górach – i kazano czekać. Zaczęło mi się dłużyć. Po trzeciej kawie, kiedy byłem już mocno pobudzony kofeiną, zostałem poproszony do gabinetu konsula. Przystojny młody dyplomata podał mi rękę na powitanie. Zaczął rozwodzić się nad przykładowymi stosunkami łączącymi go z jego przyjacielem konsulem Ratajczakiem. Przepraszał też kilka razy, że musieliśmy tyle czekać na wizy do jego pięknego kraju. W końcu wręczył mi paszporty, w których tkwiły kartki z wizami i wieloma pieczętkami.

– *No hay ningún problema, señor Pietowski*. Nie mogłem wam wbić wiz do paszportów, bo wystawiłem wizy tranzytowe na czterdzieści osiem godzin. Ale to wam na pewno wystarczy na przejazd do Nikaragui – zapewnił.

Podziękowaniom z obydwu stron nie było końca, czułem się świetnie w roli prawie konsula Polski w Meksyku. Wróciłem radosny z naszymi paszportami zawierającymi komplet niezbędnych wiz. Koledzy powitali mnie entuzjastycznie. Wreszcie nadszedł czas wyjazdu. Ambasada polska zaprosiła nas na pożegnalne spotkanie. Wcześniej jednak wydaliśmy najdłuższą festę pożegnalną w obozie przy olimpijskim torze kajakowym Cuemanco. Żegnaliśmy wielu przyjaciół, tak Polaków, jak Meksykanów. A potem udaliśmy się do ambasady znajdującej się przy swojsko brzmiącej dla naszych uszu Calle Cracovia. Ostatnie słowa podziękowań i w drogę!

Chevrolet, pokonując ostre zakręty, wspinał się na krawędź Sierra Nevada. Z góry spoglądaliśmy na malejące w dolinie jedno z największych miast naszej planety. Byliśmy wzruszeni, przypominając sobie tysiące sytuacji, w większości dobrych lub nawet wspaniałych, jakie przeżyliśmy w tym mieście wśród fantastycznych przyjaciół. Czuliśmy, że zamyka się pewien etap w naszym życiu.

Trzech z nas siedziało w kabinie, dwójka obserwowała krajobraz z wygodnych foteli w przyczepie kempingowej. Czasami ci z tyłu używali dzwonka, aby poinformować nas, że mamy się zatrzymać, czy to na zrobienie zdjęć, małe zakupy w przydrożnej budzie, czy to do toalety. Wciąż wspominaliśmy przeżycia ostatniego roku, raz po raz wybuchaliśmy śmiechem, przypominając sobie przygody na rzekach, zwłaszcza z naszymi gośćmi w pontonie. Przyjemny wiatr z południa rozsadzał nam piersi falami radości. Byliśmy na szczycie świata: droga do Patagonii

Zadowolenie ze zwycięstwa – Piotr Chmieliński niesie kajak po przepłynięciu Río Pescados w Meksyku
fot. Zbigniew Bzdak



stała przed nami otworem! Wiele lat pracy i niebywały upór zaczęły w końcu owocować. „Chevy” pokonywał kilometry z szybkością małej awionetki. To nie ciężki star mitrzący całe tygodnie na przejazdy.

Problemy pojawiły się zaraz po przekroczeniu granicy stanu Veracruz. Na gorącym asfalcie zaczęły pękać przywiezione ze złomowiska w Las Vegas opony. Co kilkanaście kilometrów stawaliśmy w przydrożnych warsztatach, gdzie zaklejano dziury i wykonywano magiczne wprost sztuczki, łatając stary kauczuk i kiwając przy tym z politowaniem głowami.

– Na tych oponach do Argentyny z pewnością nie dojedziecie – zawyrokował jeden z umorusanych wulkanizatorów, oglądając mapę podróży wymalowaną na ścianie przyczepy kempingowej.

Uznaliśmy, że na razie musimy dojechać do stolicy stanu, Méridy. To wielkie miasto i tam na pewno coś wymyślimy. Na ostatnich kołach wjechaliśmy do miasta i znaleźliśmy nocleg. Upał był niesamowity, nawet w nocy.

Rano, odświeżeni po podróży, udaliśmy się do pałacu gubernatora, aby wręczyć mu list polecający od meksykańskiego prezesa Instytutu Sportu, prywatnie brata prezydenta kraju – Guillerma Lópeza Portilla. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Obydwaj panowie przyjaźnili się od lat i byli wysoko postawionymi działaczami tej samej partii – PRI (Partii Rewolucjo-Instytucjonalnej) – która od sześćdziesięciu lat sprawowała władzę w kraju. Po wypiciu świetnej kawy i odśpiwaniu jakichś pieśni przy akompaniamencie gitary wreszcie zapytano nas, czy czegoś nie potrzebujemy przed wyjazdem do Gwatemali. Skromnie poinformowaliśmy gubernatora, że mieliśmy problemy z ogumieniem samochodu i kilkoma innymi drobiazgami.

– *No problem* – odparł gubernator płynną angielszczyzną. – Wszystko naprawią w warsztatach policyjnych, mają bardzo podobne samochody do waszego.

Wydał polecenie i kilka piosenek później powiedziano nam, że możemy jechać do warsztatów. Nasi artyści wykonali pożegnalne zdjęcia i obiecaliśmy odezwać się już z Argentyny.

– Uważajcie na siebie w bananowych republikach, nie podróżujcie nocą – pożegnał nas gubernator.

W warsztatach policji stanowej przyjęto nas „na baczność”. Kierownik wypytywał, czego potrzebujemy, coraz odważniej więc wyliczaliśmy zużyte części w starym chevroletcie. Tym sposobem wymieniono olej, zainstalowano nową prądnicę oraz wyklepano przygięty błotnik i klapę. Potem do pracy ruszyli lakiernicy. Problem był tylko z oponami, właściwego rozmiaru nie było w magazynie. Pogodny kierownik warsztatów nie przejął się tym zbytnio, zadzwonił do firmy Goodyear i załatwił pozwolenie od kogoś „na górze” na zakup czterech nowych szerokich opon typu wrangler. Tak mu poradzili eksperci, słysząc, że jedziemy do Argentyny. Po dwóch dniach samochód i przyczepa wyglądały jak nowe. Sprawny lakiernik odmalował naszą amatorską mapę na ścianie przyczepy kempingowej, wypisał reklamy firm sponsorujących, a na drzwiach umieścił nazwę Klubu Kajakowego „Bystrze” w języku hiszpańskim. Z boku pojawił się napis informujący, skąd wziął się ten wspaniały wehikuł: „Dar Grupy Jabczyńskich z Las Vegas”. Na szybie tylnych drzwi przyczepy nakleiliśmy kolorowy portret papieża Jana Pawła II, uśmiechniętego i błogosławiącego całemu światu.

Długo nie mogliśmy się rozstać z naszymi dobroczyńcami. Zamknęli garaż i odbyła się krótka, ale „intensywna” fiesta. Później mocno rozweseleni rozjechali się do domów. Nas natomiast chevrolet powiózł do sąsiedniego stanu Quintana Roo, do serca tajemniczej kultury Majów.

Rozdział II

GWATEMALA

Łśniący nowym lakierem chevrolet pędził równą asfaltową szosą na południe, szlakiem jednej z najstarszych kultur amerykańskich. W podziw i zadumę wprawiała nas majestat i tajemniczość odwiedzanych majańskich miast: Xel Ha położonego nad samym morzem, Chichén Itzá z potężną piramidą Kukulkana czy portowej miejscowości Tulum, z małą plażą ze złotym piaskiem i turkusową wodą u stóp ruin kamiennych budowli. List z Ministerstwa Kultury Meksyku otwierał nam bramy do wszystkich zabytków pradawnej cywilizacji, co przy naszym skromnym budżecie i wielkiej ciekawości świata było nie lada pomocą. W muzeach mogliśmy fotografować eksponaty. W ruinach miast Majów pozwolono nam zaglądać do wszelkich zakamarków i wspinać się po stopniach piramid, by z ich szczytów zachwycać się oszałamiającymi widokami. Atmosfera wokół nas, Polaków, była niezwykle życzliwa i serdeczna. Szczególnymi względami darzyła nas płeć piękna. Señority z niedowierzaniem dotykały jasnych niczym len włosów Jurka i wysyłały długie rozmarzone spojrzenia w stronę jasnoniebieskich oczu Piotra.

Granicę z Gwatemalą postanowiliśmy przekroczyć w mieście Tuxtla Gutiérrez, oznaczonym na mapie dużą gwiazdką. Tam też mieliśmy zrobić ostatnie zakupy przed wjazdem do bananowych republik. By dotrzeć do przejścia, musieliśmy okrążyć

Belize, ówczesny Honduras Brytyjski, jak się bowiem okazało w konsulacie w Méridzie, na wizy wystawiane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Londynie trzeba było czekać prawie miesiąc. Zdecydowaliśmy się zatem na inną trasę, nawet kosztem ominięcia najpiękniejszych raf koralowych świata. Jeżdżąc w ciemnościach nocy, z coraz większym zdziwieniem i zniecierpliwieniem poszukiwaliśmy Tuxtla. Według mapy znajdowaliśmy się w mieście, którego jednak... nie było! Wreszcie zapytaliśmy napotkanych wieśniaków o drogę. Śmiejąc się niczym z udanego dowcipu, wyjaśnili:

– Takiego miasta nie ma, to wioska. Mapa, którą macie, została przygotowana dla naszych nieprzyjaciół, Gwatemalczyków i Belizeńczyków.

Belize było wówczas przedmiotem sporu dyplomatycznego i walk między Gwatemalą a Meksykiem. Do dziś mieszkańcy terenów przygranicznych tego małego państwa czują się niezbyt pewnie w swoich domach.

Późno w nocy rozłożyliśmy się więc w szczerym polu i zasnęliśmy na polowych łózkach, trzymając pod śpiworami maczety – na wszelki wypadek. Obudziły nas pierwsze promienie słońca. Szybko zwinęliśmy obóz, zażyliśmy kąpieli w strumyku i z duszą na ramieniu ruszyliśmy w kierunku szlabanu granicznego Meksyku.

20 maja, środa Trzeci dzień spływu

Do jedenastej kleję dziurawą pompkę do pontonu. Z braku narzędzi, śrubki wykręcam nożem kuchennym. W końcu klej wiąże. Dobijamy powietrze do miękkich komór i o wpół do dwunastej jesteśmy na wodzie. Przepływam kajakiem na południową stronę rzeki i wychodzę na wzgórze, aby sfotografować miejsce połączenia obydwu rzek. Przebywając od kilku dni w kanionie zbudowanym ze skał o różnych kształtach i kolorach, zaczynamy, szczególnie Biczu, interesować się kamieniami i geologią. Znajduję dwa ciekawe okazy: jeden z białymi półprzezroczystymi naciekami, drugi jakby pokryty złotym metalem. To pobudza wyobraźnię: może znajdziemy w kanionie bryłki złota albo ukryty skarb Inków?

Zaraz po opuszczeniu biwaku natrafiamy na podwójny wodospad o spadku około 10 metrów. Przenoska trwa do trzeciej. Dzisiaj wiele już nie przepłyniemy! Po przenosce spływamy tylko 200 metrów i stajemy na biwak na prawym brzegu, powyżej kolejnych dwóch wodospadów.

Jesteśmy zmęczeni i rozczarowani wolnym tempem spływu. Wszyscy odczuwamy skutki trzydniowych zmagania z dziką rzeką i jej ogromnymi spadkami, nieporównywalnymi z żadnymi innymi, jakie dotąd pokonywaliśmy. Mozolnie wynosimy wszystko z pontonu. Aby przenieść skrzynię kuchenną ważącą około 80 kilogramów, przywiązuję do jej dwóch uchwytów linę, którą następnie zakładam sobie na szyję, a pudło trzymam przed sobą. Miejsce na biwak jest obłądne: łacha piasku pięć metrów ponad wodą, a nad nią czyste popielate skały. Na drugim brzegu ścianę kanionu wieńczą dwa bazaltowe ciosy, które kiedyś mogły być kraterami wulkanów. Dwa wodospady znajdujące się ponad nami proponujemy nazwać imieniem Shipeego i Johnsona. Stefan serwuje mielonkę i groszek. Niestety dzień był pochmurny i zrobiło się chłodniej niż wczoraj.

21 maja, czwartek Czwarty dzień spływu

Wypływamy o wpół do dziesiątej, wcześniej niż poprzedniego dnia. Zaczynają się trudniejsze odcinki, choć jeszcze niegroźne, przyspieszenia wody. Po prawej stronie, na ścianie kanionu zauważamy ludzi schodzących wraz z mułami ku rzece. Z mapy wynika, że niedaleko stąd jest mostek, przed nim natrafiamy na dwa duże bystrza. Po ich obejrzeniu decyduję się na przepłynięcie. Prąd wody znosi mnie na lewo, do dużej cofki wypłukanej w stromych skałach, z których wypływają małe strumienie wody. Ponieważ nie mogę się obrócić, napływam na warkocz, aby wyskoczyć na prawą stronę po dużych kamieniach. Początkowo wszystko idzie dobrze, ale wpadam między dwa głazy i wywracam się. Koziółkuję w dół, przez wodospad, i wypadam z kajaka. Łapię go ręką i przelatuję z nim po kilku kamieniach. Podpływa do mnie ekipa na pontonie. Jacek chwyta kajak za pętlę, a ja wdrapuję się po siatce i pomagam wiosłować do brzegu. Napęczniony częściowo wodą kajak jest ciężki i Jacek wypuszcza go z ręki. Widzę jak tył z wewnętrzną komorą powietrzną wynurza się z wody, a cięższy przód wali po podwodnych kamieniach. Gdy Jurek i Piotr wydostają kajak w końcu na brzeg, kokpit jest kompletnie strzaskany. Nie mamy tyle żywicy, aby go naprawić. Nie ma rady, wycinamy piłą logo Canoandes 79, a resztki kajaka wieszamy na pniu drzewa, kilka metrów nad wodą.

To wszystko dzieje się tylko 100 metrów przed mostem. Utopiłem przy okazji 3 tysiące soli i kartkę z telefonami, której podczas pakowania zapomniałem wyjąć z kieszeni w spodniach i odpowiednio zabezpieczyć. Jestem załamany. Moje ego zostało zmiażdżone wraz z kajakiem! Teraz na rzece w kajaku pozostał już tylko Piotr. Jeśli i jego kajak zabierze woda, zostaniemy bez

*Szesnasta przenoska od początku spływu;
w akcji Andrzej i Jurek (niosą ponton), z tyłu Piotr i Biczu
fot. Stefan Danielski*





Po tygodniu skończył się nam gaz i musieliśmy gotować na ognisku;
od lewej: Andrzej, Biczu i Jurek
fot. Stefan Danielski

przewodnika. Ech, a tak starałem się przepłynąć każde bystrze, tak chciałem odbyć cały spływ w kajaku.

Przesiadam się do pontonu i zaczynam pracować przy splawianiu ciężkiego słonia. To mordercze zajęcie. W kajaku czułem się wolny i niezależny, mogłem przemieszczać się szybko, z lekkością sunąc po wodzie. Teraz siedzę jak na tapczanie i wiosłem próbuję nadać kierunek pontonowi, przeciwstawiając się sile rzeki. Warunki stają się coraz trudniejsze. Raz po raz linujemy

ponton, robimy też jedną przenoskę. Gdy tylko przypomnę sobie mój lekki kajak wiszący teraz na kikucie drzewa, wraca wściekłość, która powoli przeradza się w rezygnację.

Po południu dostajemy prezent od losu: rzeka wpływa w szerszą dolinę i płynie dość równomiernie, ponton nabiera szybkości. Wciąż jednak najeżdżamy na podwodne skały. W kilku miejscach jest tak wąsko, że klinujemy się między głazami – ponton zalewa woda, szarpiemy za kółka mocujące linę wokół

pontonu, wrywając przy tym dwa z nich, aż udaje nam się wydostać z pułapki. Płyniemy dalej, mijając zerwany mostek linowy zwisający ze skał wysoko nad rzeką.

Jesteśmy na rzece do czwartej trzydziści. Po przepłynięciu długiego bystrza zatrzymujemy się na biwak na prawym brzegu, nad wpadającym do Río Colca potokiem, pod piękną górą Chahuasa wznoszącą się 3926 metrów nad poziomem morza. Pokonaliśmy około 7 kilometrów. Za nami kolejny morderczy dzień. Wokół rozpościera się krajobraz charakterystyczny dla młodej rzeki: wielkie ostre głazy, oberwane brzegi, rumowiska, dzika, surowa przyroda. Jestem zmordowany i przygnębiony utratą kajaka. Ręce mam poranione i pocięte linami pontonu. Naznosiłem wprawdzie drzewa na ognisko, ale nie mam ochoty przy nim siedzieć ani z nikim rozmawiać, ani w ogóle cokolwiek robić. Idę spać. Czuję się jak zbity pies. Na szczęście nie mam wachty.

22 maja, piątek Piąty dzień spływu

Wypływamy dopiero o dziesiątej dwadzieścia. Nie udaje mi się zmobilizować grupy do wcześniejszego rozpoczęcia dnia. Jurek grzebie się okrutnie, na moje dopytywania odpowiada szorstko, że zamokła żywność i musi ją przesuszyć. Dlaczego nie pomyślał o tym wczorajszego wieczoru? Dziś mam wachtę. Zdążyłem zrobić śniadanie, spakować kuchnię, napisać stronę w dzienniku podróży, pójść w górę i dół rzeki, porobić zdjęcia i spakować się, a on ciągle nie jest gotowy. Popołudniami więcej od Pacyfiku coraz silniejsze wiatry, wywołując zimne przeciągi w kanionie, co zmusza nas, zmokniętych i zziębniętych, do coraz wcześniejszego schodzenia z rzeki i zatrzymywania się na biwak, stąd tak ważne jest wczesne wypływanie! Szkoda tego zmarnowanego poranka!

Z mapy wynika, że będzie znowu stromo – czekają nas spadki rzędu 25–30 metrów na kilometr. To bardzo dużo. Od ujścia potoku, przy którym biwakowaliśmy, spływamy slalomem szybkim bystrzem do kilkudziesięciometrowego basenu

ze spokojną wodą. Natrafiamy na wodospady. Konieczne jest linowanie i przenoska pontonu, następnie zjazd po spienionym bystrzu i przenoska pod indiański szałas z bambusów zanurzony w zieleni palm i opuncji. Dojście do tej malutkiej oazy zna tylko jej właściciel; kilka razy w roku pojawia się tu z wędką i siecią rybacką, zdobywając pożywienie dla rodziny. Zatrzymujemy się na posiłek. Paszтет i suchary, choć zamoczone, smakują jak wyborne danie w dobrej restauracji! Zauważamy, że zmienia nam się smak i zapotrzebowanie kaloryczne. Wysilek fizyczny i ciągle przemoczone bawełniane ubrania, których ogrzanie stanowi spory wydatek energetyczny, powodują, że wciąż jesteśmy głodni. Na każdym biwaku czy przerwie na posiłek wszystkie oczy wpatrzone są w dyżurnego kucharza, który rozdziela jedzenie. A jedzenia jest coraz mniej i pochłaniamy nawet okruszki. Szczęśliwiec, zwykle wachtowy, ma prawo wyskrobać puszkę po konserwach. W rzece spotykamy gdzieś skaczące pstrągi, ale nie mamy ani żyłki rybackiej, ani haczyków, żeby je złapać. Zastanawiamy się, czy udałoby się nam upolować ryby kamieniem, ale pstrągi zwykle skaczą w dużej odległości od pontonu i są tak szybkie i zwinne, że szanse są raczej nikłe.

Pierwszych kilkaset metrów za oazą spływamy w miarę gładko. Później linujemy ponton na prawym brzegu. Huk wody zagłusza słowa wołającego coś do mnie Jurka. Próbuję zatrzymać rozpędzony ponton o jedną cofkę za wysoko, a ponieważ hamuję go sam, lina przecina mi skórę na dłoniach. Zaraz potem robimy po raz pierwszy przenoskę z użyciem liny poręczówki i mostu utworzonego z naszego pontonu. Głazy blokujące koryto rzeki są tak ogromne jak domy jednorodzinne. Przenosimy pusty ponton do jednej z zatoczek, a następnie korytarzem między skałami brniemy w wodzie i trzymając się jedną ręką poręczówki, z powrotem ładujemy do niego cały sprzęt. Czeka nas jeszcze wodowanie prawym brzegiem rzeki. Pracujemy w półmroku, woda jest zimna. Próbujemy pokonać kilkadziesiąt metrów rzeki, ale natrafiamy na jeszcze większe wodospady i zziębnięci zatrzymujemy się na biwak. Gaz z butli kończy się, gdy gotuję zupę. Rozpalamy ognisko, na którym podgrzewamy



drugie danie: kaszę z rybami i groszkiem. Siedzimy przy ogniu, popijając herbatę i kawę.

Analizujemy mapę. Jesteśmy zaskoczeni, jak niewielki dystans pokonaliśmy w ciągu tych kilku dni. Dzisiaj, pracując ciężko przez 5 godzin, zrobiliśmy zaledwie 3 kilometry! Według naszej niedokładnej mapy za kolejne 3 kilometry spadek ma zmaleć do około 10 metrów na kilometr. Oby tak było! Posuwamy się wolno, a żywność znika w zastraszającym tempie. Wzięliśmy jedzenia na siedem dni, tymczasem już wiemy, że w tych warunkach nie dotrzemy do Hacienda Canco nawet w ciągu dziesięciu dni. Po drodze nie ma tymczasem jakiegokolwiek oazy, by uzupełnić zapasy. W minorowych nastrojach postanawiamy podzielić pozostałą żywność na mniejsze porcje.

23 maja, sobota Szósty dzień spływu

Obudziłem się o szóstej, drzemę jednak jeszcze pół godziny. Jacek już wstał, rozpalil ogień i przygotowuje śniadanie. Dwadzieścia metrów od obozu huczy wodospad, nieco poniżej dostrzegam następny. Dzień zaczniemy od przenoski. Jacek dzieli swoją uwagę między czynności kuchenne a obserwację światła w kanionie. Nalewa nam do menażek mocno rozcieńczoną zupę mleczną. Gdy podchodzi do Jurka, ten domaga się większej porcji.

– Wszyscy dostają po równo. – Jacek zachowuje spokój. – Dlaczego miałbyś dostać więcej?

– Bo jestem większy! – pada ostra odpowiedź.

Ale ten numer nie przechodzi. Kwitujemy go spontanicznym śmiechem. Śniadanie kończy się szybko – trochę pospieszam kolegów, żeby wcześniej opuścić obozowisko. Niestety,

Piotr prowadzi na wyjątkowo spokojnym odcinku rzeki w najgłębszych partiach kanionu
fot. Stefan Danielski

wyruszymy o dziewiątej dwadzieścia. Rano tracimy co najmniej godzinę, robiąc rzeczy, które mogliśmy wykonać wieczorem. Opóźniają nas też filmowiec i fotograf, którzy dopiero po wejściu słońca do kanionu mogą cokolwiek uwiecznić na taśmach.

Zaraz za obozem na lewym brzegu widzimy kępę zieleni i indiańską chatkę z bambusów, podobną do tej z poprzedniego dnia. Ona też jest opuszczona, pewnie koczują w niej czasem rybacy z Cabanaconde i przysiółków. Wykonujemy przenoskę i wpływamy do stumetrowego wąwozu, w którym czyhają na nas wodospady. Część z nich linujemy, jeden przepływamy, a na koniec znowu robimy przenoskę. Przed mostkiem widać kolejne dwa wodospady. Górny dało się zlinować, ale dolny musimy obejść. To już dziewiąta przenoska w tym dniu!

Na mostku niespodziewanie pojawiają się Indianie w strojach Cabana z objuczonymi osłami. Wychodzimy do nich i pytamy, czy nie mają jakiejś żywności do sprzedania. Mają *tuna*, które wiozą na jarmark do Cabanaconde. Mieszkają wysoko w górach po północnej stronie kanionu, gdzie uprawiają małe poletka, *chakras*. Dobijamy targu i kupujemy sto owoców. Dobre i to, niespodziewane źródło cukru wystarczy nam na dwa dni. Więcej nie możemy zabrać, bo w słońcu owoce szybko się psują. Dowiadujemy się, że to już ostatni most na Río Colca, aż do samego ujścia. Wracamy na rzekę, podczas gdy Jacek zostaje i filmuje z mostu nasze przepłynięcie bystrza kończącego się dużą dziurą i wysokim odwojem.

Muszę być bardzo zmęczony, bo zaczynam się bać. Nie martwi mnie samo uczucie, ale możliwe jego konsekwencje: niepotrzebna utrata energii i złe decyzje podpowiadane przez strach. Zająłem miejsce w pontonie, w którym Piotr zastąpił Jacka, woda niesie nas coraz szybciej w gardziel bystrza, a ja czuję lęk. W głowie kotłują mi się myśli: co będzie, jak nas wyrzuci? Co zrobię, jak wpadnę w tę paskudną dziurę poniżej? Czy uda nam się zatrzymać ponton przed następnym wąwozem i poczekać na Jacka?

Do tej pory byłem nastawiony bojowo: zamierzałem przepłynąć kanion, pokonać wszystkie bystrza i wodospady. Strach, charakterystyczny dla wypraw na nieznaną rzekę, przeżyłem wcześniej w Limie i Arequipie podczas przygotowań do ekspedycji, zbierania informacji i materiałów. Podczas innych spływów odczuwałem zdenerwowanie i napięcie, ale nie na Colce, aż do tej chwili!

Moje rozmyślenia przerwało napłynięcie pontonu na głaz. Wpadliśmy w dziurę – szarpnięcie i wyskok jak z katapulty na spokojną wodę. Jacek uwiecznił ten moment na filmie, wygląda to dość dramatycznie i oddaje w dużym stopniu skalę trudności i siłę wody.

Następne sto metrów było w miarę spokojne, ale zaraz potem wyrósł przed nami głęboki szary kanion o pionowych ścianach, do którego nie sposób zajrzeć. Na rzece porozumiewaliśmy się za pomocą specjalnego systemu znaków pokazywanych wiosłem i rękami. Płynący przodem Piotr wciągnął kajak na skałę i dał nam sygnał, żebyśmy czekali. Sam zaczął się wspinać na skały. Nadal niewiele jednak widział, wziął więc kajak na ramię i przyklejony do ściany kanionu zaczął wchodzić głębiej. Ostrożnie pokonywał szczeliny. W kolejnym wylomie stracił jednak podparcie i spadł do rzeki. W żaden sposób nie mogliśmy mu pomóc, patrzyliśmy bezradnie, jak mocuje się z wodą i kajakiem. Po chwili złapał grunt pod nogami i wyszedł na brzeg. Dał nam znać, że możemy płynąć, trzymając się lewej ściany. Sforsowaliśmy kilka trudnych miejsc, zanim zziębnięci i przemoczeni stanęliśmy na biwak w miejscu, z którego widać było prawy dopływ rzeki Colca – Río Cusca.

24 maja, niedziela Siódmy dzień spływu

Po słabym śniadaniu pokonujemy nurt i robimy zdjęcia przy potoku Cusca, płynącym z osady Choco, położonej wysoko w paśmie gór Chila. Po szybkich bystrzach docieramy do miejsca, gdzie rzeka wykonuje gwałtowny skręt – najpierw

w lewo, a potem w prawo – po czym pędzi na ścianę przez wielki głaz. Linujemy ponton. Nie przewidzieliśmy jednak, że nurt jest tu niezwykle silny. Wpycha ponton na ścianę, a cuma rufowa zapętała się o głaz. Za chwilę możemy stracić i ponton, i cały sprzęt wraz z resztką żywności. Na szczęście cuma szarpana prądem rzeki puszcza i ponton dobija do brzegu. Długo wybieramy z niego wodę, machając na zmianę garnkami.

Płyniemy dalej. Po kilku spokojniejszych zakrętach trafiamy na klasyczną szóstkę – woda wpływa pod ogromne głazy tarasujące koryto rzeki. Przy okazji przenoski serwujemy lunch. Chodząc po plaży, zauważam mały staw, a w nim uwięzionego średniej wielkości pstrąga. Nie namyślając się długo, podnoszę spory kamień i celuję w rybę, nie wiadomo jak długo uwięzioną w pułapce. Rzucam i trafiam. Ale mamy radość! To dodatkowe źródło białka. Jedna ryba na sześciu chłopów. Cóż, dobre i to.

O wpół do drugiej znów ruszamy w drogę. Natykamy się na gorące źródło. Wrzątek tryska pomiędzy skał zabarwionych na zielono i pomarańczowo, para syczy jak z lokomotywy. Filmujemy i fotografujemy, ale o kąpielii nie ma co marzyć – woda jest za gorąca. Poszukując miejsca na biwak, przepływamy na lewy brzeg, gdzie między pionowymi płytami skalnymi znajdujemy skrawek terenu wspaniale osłonięty od wiatru. Tam zatrzymujemy się o czwartej popołudniu.

Zrzucamy mokre ubrania, a potem przepływamy pontonem na drugi brzeg po drewno na ognisko. Znajdujemy tam małe szale i ślady człowieka. Wieziemy gałęzie bardzo ostrożnie, by nie przebić komór pontonu. Wspinamy się ze Stefanem na ścianę wąwozu powyżej obozowiska. Widoki na kanion i rozpościerające się wokół góry są niepowtarzalne. Później rozpalamy ognisko i suszymy odzież, a wachtowy przyrządza

*Przenoska między dwoma wodospadami;
na skałe Piotr Chmieliński
fot. Stefan Danielski*





obiad, dolewając do kociołka podwójną porcję wody, którą pieśczośliwie nazywamy kolczanką. Gotuje się w niej nasz prastrąg, razem ze skórą, aby nie stracić nawet kropli tłuszczu.

Oprócz niedożywienia i zmęczenia naszym głównym problemem jest wysuszona skóra, spalona przez słońce, wiatr i pusty powietrze. Do tego pokaleczone dłonie, obtarte linami – pękająca skóra tworzyła bolące rany, które krwawiły i piekły. Nie zabraliśmy wystarczającej ilości skutecznych smarowideł, w końcu nie da się wszystkiego władować do pontonu, którym ma się przepłynąć szaloną Río Colca.

Według mapy osiągnęliśmy wysokość 1650 metrów nad poziomem morza. Pozostało nam „tylko” 800 metrów pionowego spadku. Wyciągając fałszywe wnioski z artykułu José A. Ariasa, który z synem i grupką przyjaciół zszedł z Huambo do Canco w 1978 roku, opublikowanego w niemieckim piśmie kajakowym, oczekiwaliśmy, że już następnego dnia dotrzemy do kolorowych warstwic i wysokich wodospadów w korycie Río Colca. Nie wiedzieliśmy wówczas, że zdjęcie Ariasa z rzeki Huambo zostało mylnie podpisane i widok przeszkód na rzece, który przez wiele nocy spędzał nam sen z powiek, nie dotyczy kanionu Colca. Natomiast mapa informowała, że wkrótce nastąpi złagodzenie spadku wody do 10 metrów na kilometr. Była to wartość średnia, rzeka płynęła skokami, jak po schodach. Bez względu jednak na przeszkody, musieliśmy jak najszybciej dotrzeć do Canco, aby zdobyć jedzenie!

25 maja, poniedziałek Ósmy dzień spływu

Wyruszyliśmy o dziewiątej dwadzieścia. Rzeka płynęła szybko, tworząc długie, ale niegroźne bystrza. Wreszcie kilometry

Chwila dla fotoreporterów: filmowiec Jacek Bogucki dokumentuje akcję na bystrzu, a Andrzej Piętowski utrwała wszystko na zdjęciach
fot. Stefan Danielski

zaczęły nam stukać jak licznik w taksówce. Płynęliśmy przez coraz dzikszą krainę: wielkie rumowiska ciągnęły się po kilkaset metrów w górę, a w nich bloki skał dopiero co oderwanych od ścian, wszystko jakby przeryte dopiero wczoraj, ogrom i surowość, nawet kaktusów brak! W końcu trafiliśmy na trzy wodospady. Nad nami, z lewej, ogromny szczyt, a pod ciosem bazaltowym dziwne znaki z jasnego materiału. Szkoda, że nie zabraliśmy lornetki, bo z takiej odległości trudno było zobaczyć wyraźniej ich kształty.

Za nami kolejne dwie długie przenoski – dwunasta i trzynasta na trasie. W innym miejscu przesuwamy ponton po płaskiej skale i zrzucamy w dół na wodę z wysokości 4 metrów. Podczas jednej z przenoszek Stefan wspomina spływ rzeką Marañón, na fali powodziowej: „To była jazda jak dorozka po Krakowie!”. Aby zapomnieć o głodzie, rozmawiamy o miodosytni przy Małym Rynku, o obiadach u Wentzla i słynnych kremówkach w Cracovii. A wokół nas ciągle tylko kamienie, woda i trochę suchych badyli.

Mijamy głębokie wąwozy. Nad wodą góruje lita skała wyszlifowana kamieniami płynącymi z rzeką w porze deszczowej. Pędzimy przez kolejne bystrza. Na jednym z nich z pontonu wypada Stefan. Wciągamy go z powrotem razem z Biczem, nawet się nie zatrzymując. I wtedy pozbawiony kontroli ponton odwraca się tyłem i zjeżdżamy z kilku następnych progów.

Aby uniknąć kolejnej przenoski, przeciągamy ponton z całym ładunkiem po skałach i spuszczaamy po drugiej stronie na wodę. Na biwak stajemy przy ogromnej trójkątnej pieczarze na prawym brzegu. Znowu mamy naturalną osłonę od zimna i wiatru oraz dach nad głową, dzięki któremu możemy się nie obawiać spadających kamieni. Trochę krucho tu z drewnem, ale jak wybieramy wszystkie patyki z piaszczystej plaży, wystarczy na ugotowanie obiadu. Śpimy na pontonie w jaskini lub na czystym piasku. W nocy zapalam latarkę i oglądając sklepienie pieczary, zauważam nad moją głową dwa duże kamienie



wklinowane między warstwie u samego szczytu trójkąta. „Nieźle – myślę – jak się ziemia zatrząse, kamienie polecą prosto na mnie”. Jestem jednak tak zmęczony, że lekceważę tę dramatyczną myśl i zasypiam snem sprawiedliwego.

26 maja, wtorek Dziewiąty dzień spływu

Sielankowa sceneria plaży i jaskini w ścianie kanionu rozpalila wyobraźnię Jacka i zainspirowała do sfilмовania kilku ujęć na biwaku. Zapał, który i nam się udzielił, nieco zmalał podczas śniadania. Jedna puszka skondensowanego mleka Gloria i trochę płatków owsianych zagotowanych z dużą ilością kolczanki nie nasyciły nikogo, nie wspominając nawet o nabraniu sił przed kolejnym morderczym dniem pełnym linowań i przenosek. Na pocieszenie dostaliśmy po trzy sucharki z pasztetem i kubek kawy z połową normalnej porcji cukru. „Na deser” usłyszeliśmy jednak, że były to ostatnie paszteciki. Jedzenie znikalo w zastraszającym tempie. W pontonie było coraz więcej miejsca, ale ta pustka nie pomagała nawet w przenoskach. W skrytości ducha każdy z nas liczył, że już zaraz dotrzemy do legendarnych wodospadów z publikacji profesora Ariasa.

Kilometr poniżej malowniczego biwaku natrafiamy na gigantyczne zawalisko. Zbocze góry z prawej strony osunęło się do rzeki. W korycie leżą głazy wielkości domów. Spadek rzeki szacujemy na 20 do 30 metrów na kilometr. „Musimy się znajdować przy progach przed Hacienda Canco” – myślimy, oglądając warstwie i kolorowe ściany. Linujemy ponton, gdzie tylko się da, ale i tak jesteśmy zmuszeni wykonać dwie przenoski, czyli było ich już na trasie piętnaście. Zatrzymujemy się na prawie dwie godziny, Piotr zdecydował, że zanim popłyniemy dalej, obejrzy kanion poniżej zawaliska – chodzi o bezpieczeństwo nas wszystkich. Piotr jest

*Ostatnia przenoska przed dotarciem do Canco – nad wodospadami Jana Pawła II; Piotr z Jackiem przejmują ładunek od Jurka i Andrzeja
fot. Stefan Danielski*

jedynym kajakarzem, naszym skautem-szperaczem, nie możemy więc odmówić mu sprawdzenia dalszej części kanionu. Tym bardziej, że ścianą po prawej stronie biegnie linia przypominająca cieniutką, mocno zerodowaną ścieżkę.

Przeciskamy ponton przez korytarz pod blokami skalnymi, potem przechodzimy po nim na drugą stronę rzeki. Następnie spuszczaemy ponton oraz sprzęt z sześciometrowej skały. Tuż pod nią stajemy na biwak.

Wachtowy przygotowuje skromniutki posiłek. Aby zaczerpnąć wody do picia, musi schodzić z asekuracją linową do dziury między blokami, kilkanaście metrów w dół. Jestem tak wyczerpany, że nie czekam nawet na jedzenie, zawijam się w śpiwór i zasypiam. Kiedy budzą mnie na kolację, zjadam połowę małej porcji, a resztę chowam pod pontonem, na śniadanie. Myślę, podobnie jak każdy z nas, że jutro już na pewno sforsujemy bystrza Ariasa i dotrzemy do Canco.

Poniżej naszego biwaku rzeka szaleje wśród bloków i przebija się przez zawalisko. Biała wodna piana spływa kilkanaście metrów po prawej ścianie.

27 maja, środa Dziesiąty dzień spływu

Właściwie nie robimy już śniadania. Dostajemy trochę półslodkiej herbaty i jakieś okruchy sucharów czy bułek z Cabanaconde. W końcu chodzi tylko o to, by wchłonąć trochę kalorii. Przenosimy cały sprzęt korytarzami między blokami skalnymi i spływamy 200 metrów. Natrafiamy na wielkie bystrze z wodospadem o wysokości 5 lub 6 metrów. Postanawiamy zlinować ponton, żeby oszczędzić sobie trudu rozpakowywania i pakowania sprzętu. Niestety, popełniamy błąd w linowaniu, co powoduje splątanie się dwóch cum. Ponton zatrzymuje się pod wodospadem, a impet Río Colca wprawia go w swoisty taniec śmierci. Rzeka wciąga gumową łódź prawie całkowicie pod wodę, to znowu wyrzuca w powietrze. Walczymy z linami, wykorzystując krótkie



Hacienda Canco to soczewka zieleni na dnie gigantycznego, pustynnego kanionu; zdjęcie wykonano z helikoptera dziesięć lat po pierwszym splywie
for. Zbigniew Bzdak